Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 11300·— Mk. z przes. 12000·—Mk. Półrocznie 24000·— Mk. Rocznie 48000·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 1000 Marek.

Rok XX. Kraków, 10 marca 1923. Nr. 10.

Spotkanie bandytów z „dyabłem"

(Rycina do artykułu na stronie drugiej)

TREŚĆ NUMERU: Kraków — bohaterom z pod Rokitny. — „Tydzień akademicki" w Krakowie. — Zawody narciarskie o mistrzowstwo świata. — Jenerał-poeta — W krainie dżungli. — Francuzi w Bochum. — Samochodami przez piaszczyste pustynie Sahary. — Śmierć — za kulisami — i t. d.

Spotkanie bandytów z „dyabłem".

(Do illustracyi tytułowej).

Zabawna a charakterystyczna dla obecnych czasów scena rozegrała się w Mirotkach na Pomorzu. Do jednego z obywateli miejscowych przybył kominiarz, który po dokonaniu pracy prosił o nocleg. Umieszczono go więc w stodole, gdzie kominiarz wygodnie ułożył się do snu na słomie. Nagle w nocy przed stodołę wjechali z wozem bandyci i otworzywszy wrota, rozpoczęli zboże młócone sypać w worki. Po napełnieniu zabrali się do ładowania worków na wóz. Kominiarz, korzystając z chwilowego oddalenia się złodziei, opuścił swoje leże i wszedł po cichu na belkę i gdy złodzieje już połowę zboża wynieśli, zawołał surowym głosem:

— No, no, zostawcie i dla mnie połowę!

Na ten głos jeden ze złodziei, posiadający lampkę elektryczną, skierował światło w kierunku głosu i ku okropnemu swemu przerażeniu zauważył dyabła na belce, który w dodatku wyszczerzył na nich zęby, spuszczając zarazem miotłę na twarze przybyszów. Ci, będąc przekonani, że mają do czynienia istotnie z dyabłem, który na ich twarzach namazał swe znaki piekielne, uciekli z przerażenia, pozostawiając konie i wóz z workami.

W ten sposób sprytny kominiarz uratował dobytek właściciela i nastraszył bandytów, którym po tem spotkaniu z „dyabłem" może odechce się na przyszłość rabunków.

Kraków — bohaterom z pod Rokitny.

Kraków godnie uczcił tych, co w pamiętnej szarży pod Rokitną okryli nową sławą imię żołnierza polskiego i oddali swe młode życie „dla Polski i dla Jej chwały". Uroczysty pogrzeb piętnastu Rokitniańczyków, których zwłoki po ośmiu latach sprowadzono tu, do Krakowa, skąd wyszli na bój, zamienił się w olbrzymią manifestacyę narodową.

W poprzednim numerze zamieściliśmy obszerny opis i szereg fotografii z tego żałobnego obchodu, który na długo zostanie w pamięci Krakowian. Dziś uzupełnimy go dalszemi szczegółami i zdjęciami. Przedewszystkiem zamieszczamy fotografię kaplicy z 15 trumnami bohaterów z pod Rokitny. Proste, czarne żołnierskie trumny. W środku kaplicy stoją obok siebie na wzniesieniu trumny rotmistrza Wąsowicza, podpor. Włodka i por. Kisielnickiego. Na środkowej trumnie ze zwłokami ś. p. Wąsowicza — złożony wielkich rozmiarów wieniec, uwity z liści laurowych z żółtemi szarfami i napisem rumuńskim: „Ostasii Diviziei 8-a — Gamarazior

Kraków bohaterom z pod Rokitny: Tłumy publiczności na Rynku w czasie pogrzebu. Fot. dr. St. Zapałowicz

Eroi Poloni Admiratie". Dalej widnieją na szarfach od wieńców napisy: Bohaterom z pod Rokitny — miasto Stanisławów, Bohaterom nieśmiertelnej szarży—Centralna szkoła kawaleryi w hołdzie. W dowód hołdu bohaterom z pod Rokitny — klub sportowców „Gwiazda" w Czerniowcach, Strzelcy i b. legioniści — Stanisławów, Wojewoda Stanisławowa — bohaterom z pod Rokitny, „Gwiazda Czerniowiecka" — bohaterom rokitniańskim, Polska Rada Narodowa w Wielkiej Rumunii — bohaterom rokitniańskim, Bohaterom z pod Rokitny — komitet bukowiński, Akademickie ognisko w Czerniowcach — rycerzom z pod Rokitny, Bohaterom Rokitny — korpus krakowski, Bohaterom rokitniańskim — Dom polski w Czerniowcach, wreszcie szereg wieńców od rodzin poległych bohaterów.

Na drugiej fotografii widzimy świeżo usypane na cmentarzu Rakowickim mogiły, w których ułożono na wieczny spoczynek piętnastu rycerzy rokitniańskich. Walczyli i zginęli za Polskę — a dziś wolna już ziemia polska przytuliła ich do swego łona

Zgon jednego z twórców „Ententy".

Przed kilku dniami zmarł w Nicei na udar mózgowy jeden z najwybitniejszych mężów stanu Francyi, Teofil Delcasse.

Urodzony w r. 1855, poświęcił się Delcasse, po skończeniu studyów uniwersyteckich, dziennikarstwu, wstąpiwszy do redakcyi dziennika „Republique francaise", założonego przez Gambettę. Do Izby deputowanych wybrany został po raz pierwszy w r. 1889 i należał do niej aż do 1914 r.

Jego karyera parlamentarna wyróżniała się obfitością zajmowanych posterunków. Delcasse bowiem był dwa razy podsekretarzem stanu dla kolonii, a trzynaście razy ministrem, tj. dwa razy ministrem kolonii, trzy razy marynarki, raz wojny i siedm razy spraw zagranicznych. Był także ambasadorem w Petrogradzie od 1913 do 1914 roku. Portfel spraw zagranicznych piastował bez przerwy lat siedm, od czerwca 1898 do czerwca 1905 roku, w następujących po sobie kolejno gabinetach: Brissona, Dupuy'a Waldecka-Rousseau, Combes'a i Rouvier'a. Ostatni raz był ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Viviani'ego od sierpnia 1914 do października 1915.

Początek jego karyery stanowiło szczęśliwe załatwienie groźnego zatargu o Faszodę, w roku 1908, między Francyą a Anglią. W roku zaś 1905 Delcasse ustąpił z powodu różnicy w zapatrywaniach na kwestyę marokańską, jaka zaszła między nim a ówczesnym premierem Rouvier'em, który uląkł się gróźb niemieckich. Rouvier poświęcił

Kraków bohaterom z pod Rokitny: Trumny w kaplicy szpitala garnizonowego przed pogrzebem. Fot. Zakład powiększeń A. Walaszek. Kraków.

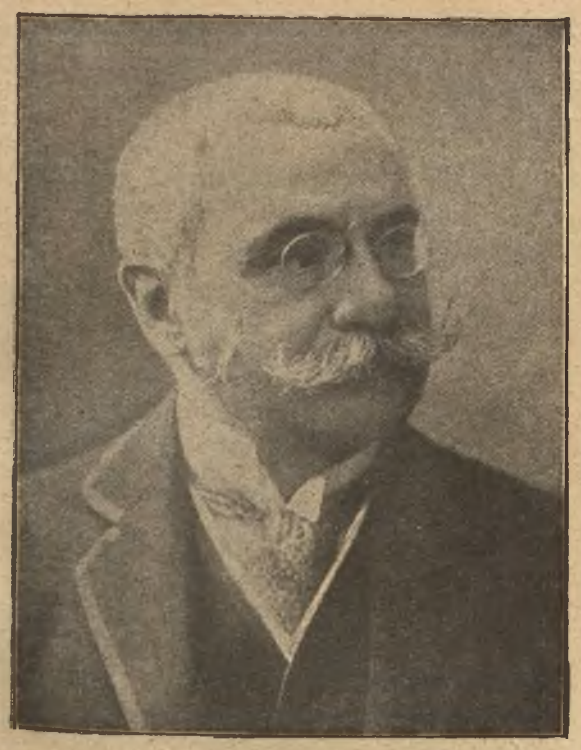

Zgon jednego z twórców „Ententy“: Teofil Delcasse.

wówczas Delcasse'go, aby uniknąć możliwości narażenia pokoju światowego przez konflikt z Niemcami.

Obok świeżo zmarłego Ribota, był Delcasse jednym z twórców aliansu francusko-rosyjskiego, zbliżenia się Francyi do Włoch i porozumienia z Anglią, noszącego półurzędową nazwę: „L'entente cordiale“. Za jego to inicyatywą, jako ministra spraw zagran., podpisały mocarstwa sprzymierzone dn. 5 września umowę w Londynie, na mocy której zobowiązały się nie zawierać osobnego pokoju.

Delcasse w Izbie należał do partyi radykalnej ale „ignorował ją — jak pisze jeden z publicystów francuskich w jego nekrologu — bo umysł jego, w całości zaobsorbowany świętą sprawą Francyi, znał tylko politykę ogólną“.

Jako gorący patryota, Delcasse zdawał sobie jasno sprawę z tego, kto jest jedynym wrogiem

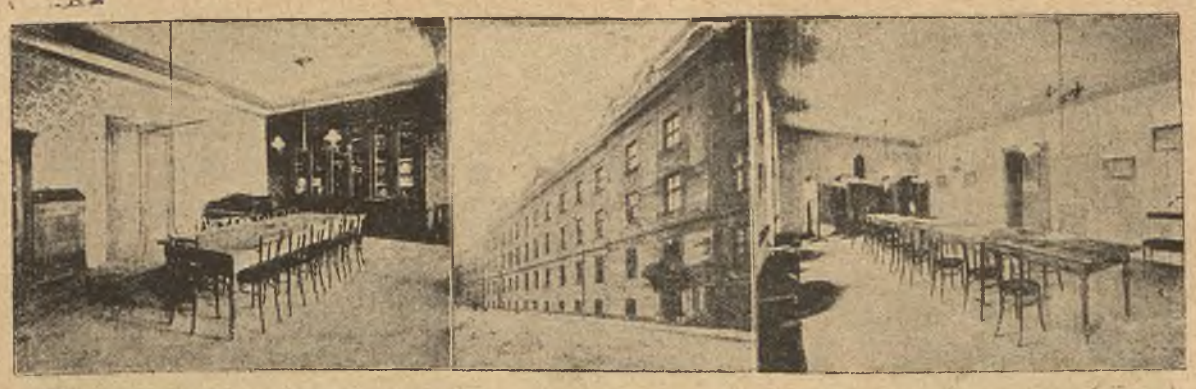

„Tydzień akademicki“ w Krakowie:
Bibljoteka w Domu akademickim. Zewnętrzny widok Domu akad. przy ul. Jabłonowskich. Czytelnia w Domu akademickim.

Francyi i wszystkie jego wysiłki były skierowane do tego, aby bronić przed nim swą ojczyznę, stwarzając jej nowych przyjaciół i sprzymierzeńców.

„Tydzień akademicki“ w Krakowie.

Jeszcze świeżo tkwią nam w pamięci te chwile, gdy lat temu cztery paliły się wschodnie ściany Rzeczypospolitej i gdy w 1920. r. hordy bolszewickie wyciągały pożądliwie rękę po stolicę Polski. Wówczas jednomyślne uchwały akademickich wieców wysłały na front ochotnicze szeregi całej akademickiej młodzieży dla ratunku zagrożonych granic. Dziś ta sama młodzież boryka się z chłodem i głodem, z wyczerpaniem i niedostatkiem. Gdy po latach służby dla Ojczyzny na polu walki, po długiej tułaczce na różnych frontach młodzież ta wróciła do swej pracy w uczelniach — znalazła się w położeniu w niezmiernie trudnem. Olbrzymia jej większość z powodu wzrastającej w szalonem tempie drożyzny, pozbawiona jest wprost środków do życia, a często i dachu nad głową. Oto wymowne daty illustrujące rozpaczliwą sytuacyę naszej młodzieży akademickiej w Krakowie:

Z kuchni akademickiej przyznano obiady 800 akademikom. Korzysta z niej tylko 500, ponieważ reszta nie jest w stanie płacić po 1.000 Mkp. za obiad. Deficyt w kuchni akademickiej przy ulicy Jabłonowskich wynosi za styczeń b. r. 11 milionów Mkp. Deficyt ten pokryto z funduszów komitetu wojewódzkiego, Związku ziemian, rektoratu i pożyczek.

Młodzież akademicka mieszka w pięciu gmachach: Dom akademicki, koszary (ulica Rajska), koszary (Łobzów), Ognisko (ulica Warszawska), Bursa akademicka (ulica Garbarska). W gmachach tych mieszka 527 akademików, reszta na ogólną liczbę z górą 5.000 bez mieszkania.

Deficyt w Domu akademickim (ulica Jabłonowskich) wynosił za styczeń b. r. 555.759 Mkp. Opłata miesięczna za mieszkanie w kwocie 8.000 Mkp. w Domu akademickim, a 3.000 Mkp. w koszarach nie mogła być opłacana przez akademików z powodu braku środków utrzymania. Warunki hygieniczne opłakane. W koszarach mieszka po dwudziestu akademików w jednej sali. Wszelkie zapomogi, udzielane w ubiegłym roku przez rząd i różne misye, ustały. Budżetu Wzajemnej Pomocy zestawić nie można z powodu skoków walutowych.

W takiem położeniu społeczeństwo nie może pozostawić młodzieży akademickiej bez pomocy. Nie chodzi tutaj jedynie o interes, choćby najszczytniejszy, naszej młodzieży, lecz o interes narodu i państwa, które muszą dbać, aby z młodzieży naszej wytworzyły się zastępy zawodowej inteligencyi polskiej, potrzebnej i koniecznej we wszystkich zawodach odrodzonej Polski. Hasłem, które winno wreszcie poruszyć szersze masy do akcyi na rzecz młodzieży, a więc przyszłości narodu i państwa, jest urządzony w Krakowie „Tydzień Akademicki“. Rozpoczęła go w ubiegłą niedzielę uroczysta Akademia w Starym Teatrze, na której

Kraków bohaterom z pod Rokitny: Groby poległych na cmentarzu Rakowickim.

Krakowianin wojewodą w Tarnopolu: Dr. Lucyan Zawistowski, nowomianowany wojewoda tarnopolski.

rektor Natanson zwrócił się z płomiennym apelem do społeczeństwa: „Młodzieży, która wróciła do szkoły z obozu, z okopu mówił należy się nie litość, ale wdzięczność nasza serdeczna. Czy podobna przypuścić, ażebyśmy przyglądali się obojętnie jej udręce? W najwyższych szkołach Krakowa, w Uniwersytecie Jagiellońskim i w dwóch akademiach, kształci się obecnie około 6.000 osób. Stosunkowo drobna część tego zastępu, mniej więcej 1500 osób, ma byt bezpieczny i wolny od troski; reszta około 4500 osób, liczy tylko na siły własne, na powszedni zarobek, ażeby ciśnienie życia wytrzymać: ażeby módz odziać się i wyżywić, ażeby mieć dach nad głową, ażeby nie pójść na dno i zagłady uniknąć. Zrozumiejmy, że w pozornej ciszy czasu pokojowego toczy się walka mniej głośna, ale równie jak orężna tragiczna, że wre dokoła nas bitwa nieustanna, codzienna, okrutna, która kosztuje niemniej ofiar i łez. Stwórzmy dla naszej młodzieży dobre i tanie kuchnie, ażeby dla niej nie budować sanatoryów gruźlicznych".

Nie wątpimy, że hasło rzucone przez rektora: „Dopomóżmy młodzieży" znajdzie głośny odzew, a każdy, komu nie jest obojętną przyszłość narodu i państwa, przy sposobności „Tygodnia akademickiego" spełni swój obowiązek obywatelski.

Krakowianin wojewodą w Tarnopolu.

Urząd wojewody tarnopolskiego objął w tych dniach Krakowianin dr. Lucyan Zawistowski. Nowomianowany wojewoda urodził się w r. 1876. w Krakowie, tu ukończył studya prawnicze, poczem poświęcił się karyerze urzędniczej. Pełnił służbę w starostwach w Podgórzu i Przeworsku, w Radzie Szkolnej Krajowej, w prezydyum Namiestnictwa. Następnie piastował urząd starosty w Pilznie, Przeworsku, Tłumaczu, Stanisławowie i Tarnowie, wszędzie zdobywając uznanie za swą owocną pracę. Powołany przez b. jeneralnego delegata Gałeckiego na inspektora starostw w Małopolsce, pozostawał na tem stanowisku aż do czasu mianowania go wojewodą.

Doskonała znajomość służby administracyjnej i młodzieńcza energia woj. Zawistowskiego dają rękojmię, że i na tej wysuniętej placówce wypełni on należycie trudne obowiązki, pracując z pożytkiem dla państwa.

Jenerał-poeta: Autor „Janosika", jen. Andrzej Galica. Fot. art. J. Kuczyński. Kraków.

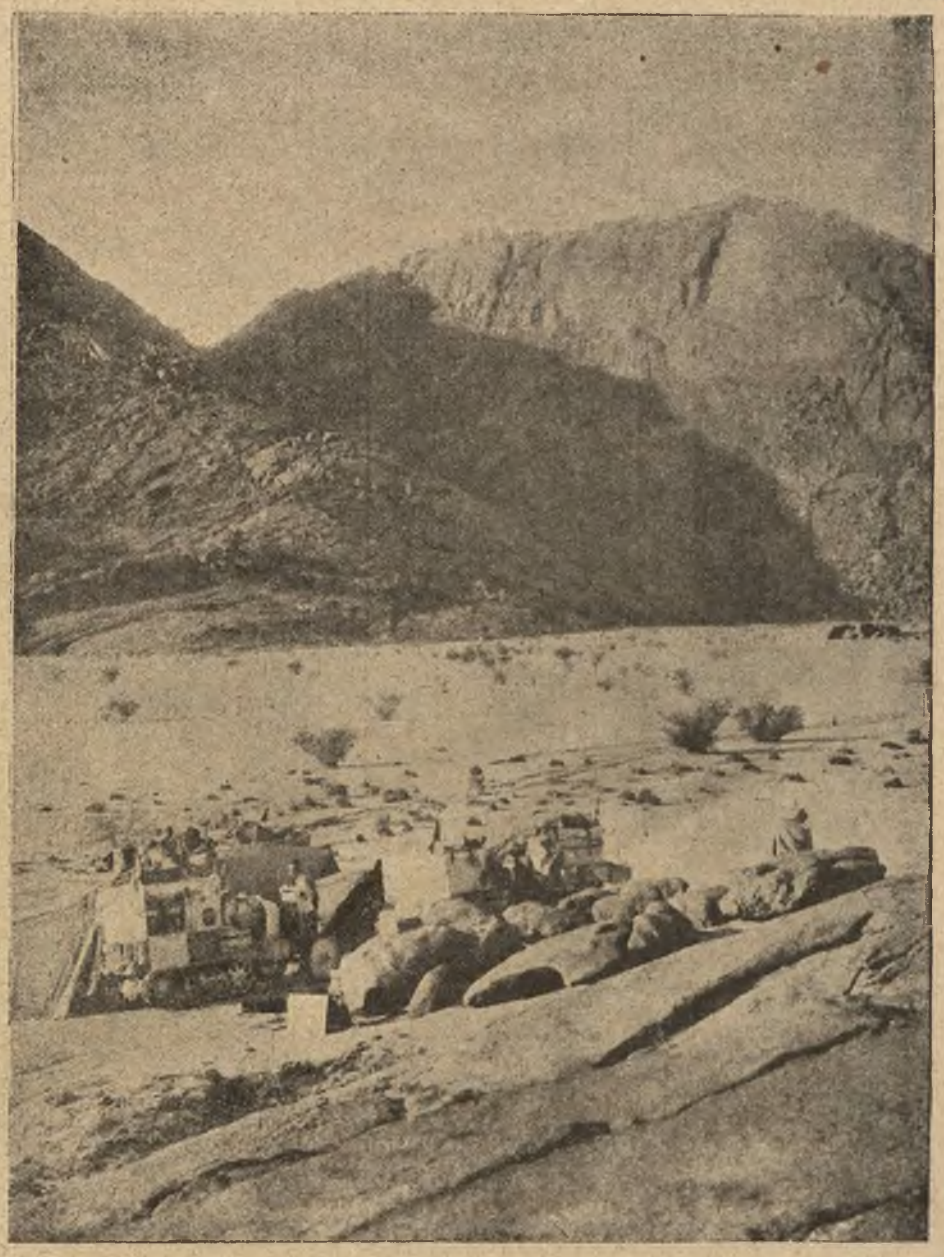

Samochodami przez piaszczyste pustynie Sahary:

Przejazd samochodów przez wąwóz Mouydir.

Biwak uczestników wyprawy w ciągu podróży.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

5) **Powieść z francuskiego**

Od kilku już dni pani Chalis otrzymywała mnóstwo listów, opisujących jej zabawy, nie przerwanie po sobie następujące w tej pańskiej rezydencyi. Wymieniano jej nazwiska przybyłych i tych, których oczekiwano. Mówiono o balach, jakie się przygotowywały, o ubiorach, które się tam ukażą po raz pierwszy. Hrabina nie posiadała się z zachwytu.

Nie powiedziawszy mi ani słowa, napisała do Paryża, do wszystkich swych dostawców, do szewca Jordana, artysty, jak utrzymywała, po obuwie; do Petitean jubilera, by jej przysłał brylanty, zamówione przed odjazdem; do Teliksa z prośbą o owe cudne kapelusze z gazy i kwiatów, które z rąk jego robotnic przechodzą na najpiękniejsze i najarystokratyczniejsze głowy całej Europy. Pisała również, by jej przysłano do Biarritz koronki, rękawiczki, perfumy.

Wszystko to niepokoiło mnie. Napróżno powtarzała mi, iż nie jest już tą samą kobietą, że jeżeli udaje się do Biarritz, to dlatego, że ma obowiązki względem towarzystwa, że będzie pisywać do mnie i że zobaczymy się w Paryżu w połowie października.

Kobiety jej do północy pracowały nad wykończeniem mnóstwa strojów. Sama pisała niezmierną ilość listów; ubodzy i dzieci zostali zaniedbani.

Czułem, że zwątpienie zakrada mi się do serca.

Ostatniego wieczora zauważyłem, że oczy hrabiny unikają moich i że chwilowo ukradkiem spogląda na mnie ze szczególnym wyrazem. Nie mogłem jednak odgadnąć, czy to żal z powodu rozstania się wzrokowi jej nadawał cechę tęsknoty. Wzdychała.

Ja także wpatrywałem się w nią. Nie wiem, co dostrzegła w moich oczach, ale odwróciła głowę.

Co do mnie, wyszedłszy od niej, nie mogłem powstrzymać łez.

Zanadto szczytnych, zanadto czystych doznałem rozkoszy — i obawiałem się, że ta, która mię niemi obdarowała, wymknie mi się na zawsze.

XL.

Przybywszy do Nantes, zauważyłem, że ojciec mój ma jakąś tajemniczą minę, która nie była mu właściwą.

Powiedziałem już, że zacny ten człowiek kochał mnie bardzo serdecznie. Dodam jeszcze, iż przeniósł na mnie całą swoją ambicyę. Surowy tryb życia, jaki prowadził, bynajmniej nie oddziałał na jego charakter. Nigdy nie widziałem człowieka w jego latach, przejętego szczerym liberalizmem. Całą swą duszą pragnął on, bym zrobił świetną karyerę, ale miał tak delikatne i tak wzniosłe poczucie godności i odpowiedzialności względem społeczeństwa, iż raczej umarłby na miejscu, aniżeliby chciał zadać kłam najmniejszy memu postępowaniu.

Po raz pierwszy od lat dziecięcych czułem się nieswój w jego obecności. Nie ukrywałem przed sobą tego, że skłonność moja do hrabiny może mnie doprowadzić do wszelkiej ostateczności. Skłonność ta już popsuła memu ojcu plany, jakie sobie ułożył co do swojej przyszłości. Nie zwierzyłem mu się z tajemnicy. Nie chciałem go martwić.

On to sam, nie domyślając się tego, zadał mi cios dotkliwy. Powiedział, że od kilku miesięcy czuje, jak siły jego słabną i że powinien już na seryo myśleć o przygotowaniach do wielkiej podróży.

Gdym się przeraził, usłyszawszy tę smutną przepowiednię, ojciec dodał, uśmiechając się, iż jedyne przygotowania, jakie ma zrobić, zawierają się w tem, iż chce, bym się sam należycie urządził.

Nie znalazłem w sobie siły na odpowiedź. Wtedy, ciągle uśmiechając się, wyznał mi, iż znalazł dla mnie towarzyszkę piękną, łagodną, niezmiernie ujmującą w obejściu i wielkiej skromności.

Gdy skończył ten panegiryk, dał się słyszeć odgłos dzwonka, otwarto drzwi i weszły dwie damy.

W młodszej z nich nie trudno mi było domyśleć się tej, o której mówił ojciec.

Gdybym spotkał ją był przed sześciu miesiącami, rzuciłbym się był ojcu na szyję. Nie była ona piękniejszą od hrabiny Chalis, ale jakaż zachodziła między niemi różnica! Nieznajoma ubrana była skromnie, wyraz twarzy miała pełen łagodności, coś niezmiernie rzewnego i dziewiczego w rysach, w oczach, w ruchach, w całej postaci. O! Wtedy to pojąłem, i to w sposób bardzo dotkliwy, że dystynkcya nie tyle jest wynikiem urodzenia, ile raczej czystości duszy.

Ta młoda dziewczyna nieznanego rodu, spokojnie wychowana w mieście prowincyonalnem, wyglądała tak, iż pozazdrościłaby jej królowa. Miała imię Marya i tak jak jej legendowa Patronka posiadała ten przymiot, iż na jej widok oczyszczało się serce.

Nie trudno mi było zrozumieć, o co idzie: uczciwe szczęście było tuż, przedemną, dotykalne, pociągające samą swoją pogodą, skromne a ożywione.

Milczenie młodej dziewczyny było wymowne. Ujrzawszy mnie, lekko zarumieniła się. Zapewne powiedziano jej, że mógłbym być jej mężem. Czyniło to położenie jej kłopotliwem.

Ale ja, na chwilę wzruszony tem dziewiczem zjawiskiem, uczułem, jak nagle serce mi się ścisnęło na wspomnienie hrabiny. Jak ci nieszczęśliwi, którzy, przechodząc kolejno wszystkie stopnie upojenia, w końcu tylko w piołunówce smak znajdują, odwróciłem się od czystego źródła, które mi się przedstawiało. Zanadto zdrowem było dla mnie.

XLI.

Nie chciałem jednak formalną odmową martwić mojego ojca.

Powiedziałem mu, że obawy, jakie miał co do własnego swego zdrowia, nie zdają mi się być uzasadnionemi i że, nie mając nic do zarzucenia panience, której rękę proponował mi, którą ja znajdowałem ze wszech miar doskonałą, byłbym szczęśliwy, gdyby udzielił mi kilku miesięcy czasu na zastanowienie się; małżeństwo bowiem, jest to rzecz ważna.

Czy ojciec mój uwierzył temu, com mówił? Nie wiem. Ułożył on tak, że codziennie przez cały miesiąc spotykałem się z Maryą. Zawsze znajdowałem ją jednakową, zawsze była zaszczytem swej płci. Nic w niej nie okazywało, bym wywarł na niej jakiekolwiek wrażenie. Zauważyłem tylko, iż w dniu, w którym byłem na pożegnaniu u jej matki, znikła z salonu, właśnie w chwili, gdym miał odchodzić.

XLII.

Listy, jakie otrzymywałem z Biarritz podczas mego pobytu w Nantes, wcale mię nie cieszyły. Hrabina pisała mi tylko o zabawach. O dzieciach ani słowa! Żadnego wspomnienia o radach, jakie dawałem jej w Aix, żadnego żalu po chwilach tam spędzonych!

Odpowiadałem, uskarżając się łagodnie. Pisałem, że takie życie, wyłącznie rozrywkom poświęcone, wydaje mi się bez treści, niegodnem jej inteligencyi i że się niepokoję o przyszłość.

Pani Chalis odpisywała mi na to, że jestem zazdrosny, że mam zły charakter. Potem, by mnie rozgniewać, uwiadamiała, że cztery razy na dzień zmienia toaletę, że zaćmiewa wszystkie kobiety, które śmiertelnie zawzięte są na nią za to. Wynurzywszy to, oddawała się szalonej radości, pisząc mi o szczęściu, jakiego dozna, gdy mię znowu zobaczy.

Naglona przezemnie, powróciła nieco wcześniej do Paryża, niż zamierzała.

Znalazłem ją zmienioną, ogorzałą od słońca, bardziej rezolutną niż dawniej, zawsze nieco nerwową, ale nie tak wyniosłą. Była jakby upojoną.

Jakiegoż doznała tam powodzenia? — zapytywałem sam siebie.

Znalazłszy się zupełnie w swojej sferze, zrobiła się jeszcze większą damą niż przedtem, bardziej niezawisłą; ja naturalnie, stałem się bardziej uległym.

Widząc, że żadna z jej przyjaciółek nie powróciła jeszcz, zamierzała pojechać do Baden. Zaklinałem ją, by tego nie robiła. Zrazu przystała, potem odmówiła, potem westchnęła, uścisnęła mię za rękę i nie mówiła o tem.

Wyniosłem się z dzielnicy, w której dotąd mieszkałem, aby być bliżej hrabiny. Zajmowała ona wspaniały pałac w alei Królowej Hortensyi.

Codzień prawie odwiedzała mnie w małym apartamencie, który wynająłem przy ulicy Miromesnil.

Ale w miarę, jak zbliżała się zima i przyjaciółki poczęły powracać do Paryża, wizyty, jakie raczyła mi oddawać, stawały się coraz rzadszemi. Świat znowu ją pochwycił!

Nie wstawała nigdy przed jedynastą. O dwunastej była ubrana i zasiadała do śniadania, zawsze sama. Potem przyjmowała bliższych znajomych do godziny drugiej. Wycieczki w powozie do szwaczek, fryzyerów, modniarek, zajmowały jej czas do godziny czwartej. Potem jeździła pokazać się w lasku i powracała do miasta, robiła wizyty i piła herbatę u tej, to u owej znajomej. O siódmej jadała obiad; potem zmieniała toaletę i jechała do teatru, stamtąd na bal. Wreszcie zmęczona strasznie, ale z głową zupełnie próżną, kładła się spać koło drugiej godziny.

Cóż pozostawało dla mnie z życia tak gorączkowo zajętego? Prawie nic. Najwięcej godzina na tydzień. Czekałem na nią — nie przybywała lub spóźniała się, była roztargniona, prosiła, bym jej nie miał tego za złe, że „mnóstwo miała roboty".

Potem wstawała, z uśmiechem podawała mi rękę do pocałowania i odlatywała.

Cierpiałem okropnie, widząc, jak mi się wymyka. Nie śmiałem robić jej wyrzutów. Obawiałem się wprawić ją w zły humor i by, korzystając ze sposobności, nie rozgniewała się i nie zerwała ze mną.

Nakoniec, jednego dnia, upłynęło już ze dwa tygodnie od czasu, jak ją widziałem; zrozumiałem, iż pozostaje mi jeden tylko środek powstrzymania tej błędnej gwiazdy, która w bezładnym ruchu coraz bardziej usuwała się z mojego nieba, a mianowicie, bym się sam dał wciągnąć w jej orbitę i przyjął udział w jej życiu.

XLIII.

Okropne to życie dla istoty, obdarzonej rozumem!

Po same usta pogrążyłem się w błocie paryskiego piekła! Zaniedbałem wszystko, nie uczyłem się już nic, przestałem pracować, nie miałem czasu nawet myśleć o czemś wzniosłem i poważnem. Na prelekcye chodziłem bez przygotowania, często podawałem się za chorego, a właściwie byłem tylko zezwierzęcony. Puściłem się szeroką drogą modnych paniczów; stałem się zwyczajnym członkiem wyścigów, jednym z filarów rozgłośnego klubu, męczyłem codzień mego wierzchowca. Wieczerzałem prawie zawsze o północy.

Wieczorem bywałem na widowiskach, rozkoszując się pięknościami „Paryskiego życia", solą atycką „Łani w lesie", porównywując w duchu szczytne ustępy Tacyta lub Demostenesa z dowcipem, tryskającym z każdego wiersza tej niezrównanej „Księżniczki Gerolstein", która doszła do takiego honoru, iż wzbudziła ciekawość samego cesarza... Unosiłem się nad figlami panny Schneider, robiłem uwagi nad kształtami Kory Pearl i miss Menken.

Z wyobraźną, naszpikowaną wszystkiemi temi pięknemi rzeczami, któremi widział i słyszał, pracowałem nad nabyciem ogłady światowej, uczyłem się sztuki podnoszenia chusteczek, zręcznego podawania wachlarza i patrzenia kobietom w oczy, jak się to dziś robi, z miną nieco drwiącą, aby dać im do zrozumienia, iż nie poczytują ich za niebezpieczne.

Skończyły się surowe studya, głębokie badania, wszelka praca wzmacniająca, która niegdyś stanowiła, że tak powiem, cząstkę mojej istoty.

Ale nastąpiły zato długie narady z krawcem w celu stanowczego zadecydowania kroju kamizelki, piękne partye w karty ze „zdrobniałymi rozpustnikami" mojego klubu, zajmujące korespondencye z dostawcą bielizny, dla ustanowienia formy mankietów i kołnierzyków, promenady nad brzegiem jeziora, ćwiczenia w strzelaniu do gołębi, wykręcanie wszelakich esów i floresów na lodzie, pod okiem pięknych dam.

Gdym zajrzał do zwierciadła, twarz moja sprawiała na mnie takie wrażenie, jak gdybym patrzał na księcia Titiane.

Co jest rzeczywiście przerażającem w życiu tego rodzaju, to mianowicie fakt, że człowiek zwolna przywyka do niego i, nie zachowując w sobie najmniejszego złudzenia co do własnej nicości, nie może jednego dnia przepędzić, by mógł się obyć bez niego. Człowiek urabia się do takiego głupiego istnienia, przepełnionego dziecinnemi zajęciami. Czasami mówi sobie: „Tego za wiele“ i doświadcza nudności; a po chwili znowu poddaje mu się i pozwala unosić.

Wystawcie sobie nieszczęśliwego głupca, któryby wsunął końce palców pomiędzy żelazne zęby jakiejkolwiek straszliwej maszyny. Ręka, ramię, całe jego ciało porwane na szmaty, nawinie się na koło. Niech jak chce opiera się, pozostanie bezsilnym wobec tego pędu, drwiącego z niego. Tak i ten, który dał się schwycić żelaznym kleszczom płochości, wyjdzie tylko rozmiażdżony kołami.

XLIV.

O błogie dnie pobytu w Aix! gdzieżeście się podziały? A zwłaszcza wy, męskie lata mojej młodości! Gdy zimą, w moim studenckim pokoiku, spędzałem połowę nocy, pochylony nad lampą, szukając przyczyn największych wydarzeń z dziejów ludzkości, gdym żył wzruszeniami, które poruszały serca tylu znakomitych ludzi, gdym brał stronę Cezara, rozczulał się nad wspomnieniem Marka Aureliusza, poprzysięgając sam sobie, iż będę wiódł życie czyste, bez żadnych ambitnych celów, że będę roznamiętniał się tylko dla słusznej sprawy, tylko dla rzeczy wzniosłych! Gdzieżeś się podziała, szlachetna wiaro w dobro, niczem nie hamowane zamiłowanie sprawiedliwości!

Teraz, jak dyskretny kawaler pięknej kobiety, stawiłem się codziennie na jej rozkazy i ona to raczyła rozporządzać moim czasem. Wskazywała mi, co miałem robić, mówić, myśleć, Rozprawiała ze mną o przycięciu mojej brody, o formie mych krawatek. Dawała mi zlecenie do handlującego psami. Zasięgała mego zdania o swoich strojach. Prosiła, bym jej czytał dzienniki o modach traktujące. Mówiła mi: Dziś wieczorem pojedziesz pan ze mną do Mabille, będzie nas tam sześć osób i zabawimy się wybornie! Albo znowu: Wszyscy mówią o Teresie. Chcę ją zobaczyć! A przybywszy do Alkazaru i zasiadłszy wśród tytuniowego dymu, wsparta na łokciach, tuż obok ciągnących kuflami piwo, śmiała się na głos, słuchając śpiewki o „Brodatej kobiecie“. Jednego razu przyszło jej do głowy, bym poznajomił ją z Teresą! Hrabina de Chalis nagadała kawiarnianej artystce tyle komplementów, ile ja nie odważyłbym się powiedzieć samej Patti.

Wodziłem ją także na bale, opery, do loży na awanscenie, wraz z dwiema przyjaciółkami, tak jak ona zamężnemi, matkami tak jak ona. A o drugiej godzinie, piechotą, chociaż był mróz, szliśmy na kolacyę do kawiarni angielskiej. Zastawaliśmy tam mężów tych dam: księcia i hrabiego — byliśmy w komplecie.

XLV.

Niepodobna jednak było, by szczupłe moje dochody mogły wystarczyć na takie życie. Grałem, w nadziei zaoszczędzenia mego majątku, t. j. małego kapitału; ale ponieważ gra gniewała mnie, więc grałem źle, przegrywałem i kapitał zmniejszał się. Miesiąc nie minął, bym nie był zmuszony sprzedać część mojej renty. Robiłem to z przekonaniem, że nigdy jej nie odzyskam.

Ciągle mi się zdawało, że mam przed sobą jakąś wielką, czarną otchłań, ku której pędem lecę.

Jednego dnia, gdym już nie miał nic, prócz mej profesorskiej płacy, a nawet zaciągnąłem już niewielkie długi, otrzymałem wezwanie, bym się zaraz stawił w ministerstwie.

Zdaje się, iż tryb mego życia doszedł do wiadomości wyższych sfer, że poczęto się wypytywać, co to za młody człowiek, o którym tyle mówią, który tak zręcznie ślizga się na łyżwach, gra tak grubo, a tak źle i wszędzie bywa z piękną hrabiną de Chalis i jej przyjaciółkami. Dowiedziawszy się, że to właśnie „nadzieja uniwersytetu“, poczęto litować się nademną i po ojcowsku wezwano, bym przyszedł dla wysłuchania uwag i przestróg, które miano wszelkie prawo zrobić mi. Przestrogi te do łez mię rozrzewniały, a jeszcze więcej łaska, jaką chciano mię zaszczycić, podwajając moje wynagrodzenie i mianując profesorem na wydziale w Bordeaux.

Tak wysoki awans w innych okolicznościach uczyniłby mnie dumnym, ale teraz, wolałbym umrzeć, aniżeli rozstawać się z hrabiną.

Odmówiłem.

Wtedy mój protektor zmienił ton. Powiedział, że miano oczy na mnie zwrócone, że były powody do obawy, iż będąc dotąd ozdobą ciała nauczycielskiego, stać się mogę jego zakałą, że nie do przebaczenia było, iż przepędzam noce po kawiarniach i szulerniach, że zamierzano wysłać mię do Bordeaux jedynie dlatego, bym zerwał z tem zdrożnem życiem, że jeżeli będę się opierać i odrzucać łaskę mnie wyświadczoną, wezwany zostanę do podania się do dymisyi, a wtedy z wszelką swobodą będę mógł iść ku mojej zgubie.

Nie zwlekając ani chwili, podałem się do dymisyi. Ale nic o tem nie powiedziałem hrabinie. Dowiedziała się o tem dopiero w kilka dni, wyczytawszy w dziennikach.

Sądziłem, że zażąda odemnie wyjaśnienia, co to ma znaczyć; ale poprzestała na tem, iż zaśmiała się i powiedziała:

— Doskonale pan zrobił. Nauczycielstwo wcale panu nie przystało. Pan jest człowiekiem światowym, lubiącym przedewszystkiem używać.

XLVI.

Na miesiąc przedtem otrzymałem list od mego ojca.

Pisał mi on, że niewłaściwem byłoby z mej strony dłuższe zwlekanie decyzyi w sprawie mego ożenienia. Młodej panience, którą mi wybrał na żonę, trafiało się kilka partyi, z których szczególnie jedna mogłaby być dobrą, w razie, gdybym ja odmówił.

Odpowiedziałem natychmiast, iż nie mogę się zdecydować na ożenienie.

Od dnia owego listy mego ojca stały się smutne. Zacny ten człowiek nie chciał wywierać na mnie nacisku, ale coś podejrzywał, widząc, że tak stanowczo odmawiam.

Nic o tem nie mówiłem hrabinie, jak również nic nie wspomniałem o kłopotach, w jakie wpadłem. Nigdy zresztą nie wypytywała mnie ona o mój majątek, bo i któż, według jej mniemania, nie miał stu tysięcy franków dochodu?!...

W owym czasie zajęcia jej znacznie się pomnożyły. Mięszając rzeczy święte ze światowemi, opiekowała się ona loteryami na cele dobroczynne i zarazem w salonie swym ze swem towarzystwem urządzała przedstawienia operetek wątpliwej wartości moralnej na korzyść żłóbków. A przytem, zapewne dla urozmaicenia swych rozrywek, bywała na posiedzeniach ciała prawodawczego.

Dla mnie ten tryb życia przedstawiał przedmiot ciągłego zdumienia.

Raz, przyszło jej do głowy wystąpić w niewiem już jakich obrazach. Przedstawienie to, co prawda, nie miało więcej nad pięćdziesięciu widzów płci niewieściej i kostyumowi hrabiny nie było nic do zarzucenia pod względem skromności. Ale na nieszczęście wzbudziło to w niej chęć produkowania się i w kilka dni potem, na urządzonym balu kostyumowym, o którym długo następnie mówiono w Paryżu, widząc, jak mnóstwo osób tłoczy się dokoła jednej kobiety i idzie krok w krok za nią, wydając okrzyki podziwu, ja także przybliżyłem się, by zobaczyć, co to jest...

Niestety! Była to ni mniej ni więcej, tylko biedna hrabina w kostyumie Dyany, wygorsowana, w staniku bardzo wąskim, tak że całe ramiona miała obnażone i w spódniczce podpiętej z jednej strony tak, że widać było pończoszkę cielistego koloru!...

XLVII.

O! gdym to zobaczył! gdym usłyszał wykrzykniki mężczyzn, gdym ujrzał kobietę przezemnie ubóstwianą, która ze swą pięknością tak się przed wszystkimi popisywała, nie potrafię opisać, com uczuł, ale zdaje mi się, że gotów byłem rzucić się na nią i udusić.

Zdaje mi się, że i sama hrabina była nieco zażenowana, gdyż często potrząsała głową, od czego włosy jej rozsypywały się po ramionach i uśmiechała się dla nadania sobie kontenansu, osłaniając się purpurowym swym płaszczem.

Ujrzawszy mnie, zbladła. Znała mnie bowiem za dobrze, by się nie domyśleć, jakie wrażenie wywrze na mnie podobnie niewłaściwy kostyum. Ale to nic nie pomogło. Podszedłem ku niej i powiedziałem:

— Błagam panią, zaklinam na wszystko, co masz najświętszego, nie pozostawaj tu ani chwili dłużej!

— A to dlaczego? — odrzekła, uśmiechając się wymuszenie. — Czy się panu mój kostyum nie podoba?

— Owszem, prześliczny! Ale... jedź pani do domu!

— Dziwak z pana! — odparła, zrobiwszy nadąsaną minkę. — Ale będzie może i dobrze, gdy go usłucham, gdyż mam migrenę.

Odprowadziłem ją aż do powozu. Przykre uczucie, jakiego w tej chwili doznałem, było tak silne i żywe, żem nie mógł przemówić ani słowa. Zęby mi się zacięły, ręce skurczyły konwulsyjnie.

Hrabina w swoim kostyumie musiała przechodzić przed szeregiem z trzystu lokai w przedpokoju. Ale ci ani się dziwili, ani zachwycali.

Na drugi dzień jeden mały dzienniczek w sprawozdaniu swem o wczorajszym balu, z najdrobniejszymi szczegółami opisał kostyum hrabiny, robiąc złośliwą uwagę, że wydała mu się nie tyle „Dyaną na łowach“, ile „Dyaną w kąpieli“.

XLVIII.

Ale za wiele miałem do czynienia, bym się zajmował złośliwym dziennikiem. Pani Chalis, przybywszy do mnie, poznała z mojej twarzy, iż miałem coś na sumieniu, z czem pragnąłbym się zwierzyć. Nic to nie pomogło, iż twierdziła, że jest bardzo zajętą, że Worth czeka na nią dla przymierzenia sukien. Zatrzymałem ją całe dwie godziny.

Nie wiem, od czego zacząłem. W tej chwili nie imponowała mi bynajmniej jej wyniosła mina. Przypominam sobie tylko, iż gdym zaczął mówić o balu, przerwała mi:

— Widziano moją nogę! — zawołała. — Jest o co robić tyle hałasu! Przecież i inne kobiety pokazują swe nogi!... Czyż moja brzydsza?

Chciała, bym wszystko w żart obrócił, ale jej się to nie udało.

— Niewłaściwość, jaką pani popełniła — rzekłem — nie jest faktem odosobnionym w trybie życia, jaki pani prowadzi. jest ona tylko godnem pożałowania jego uzupełnieniem. Przechodząc z szaleństwa do szaleństwa, doszła pani do tego, iż wystąpiłaś w kostyumie Dyany przed półtora tysiącem osób. Gdzie się pani zatrzyma? jak daleko zajdziesz jutro? Mam prawo i obowiązek powiedzieć pani to, co mówię. Stosunki nasze wkładają na mnie obowiązki i odpowiedzialność za pewne jej czyny. Widzę, jak pani biegnie ku przepaści i byłbym najnikczemniejszym z ludzi, gdybym nie stanął w poprzek jej drogi.

O! Pozwól mi pani mówić! - zawołałem w uniesieniu, widząc, że wstaje, by mi odpowiedzieć; — dawno czekam na sposobność wypowiedzenia tego, co mi na sercu ciąży i musi pani wysłuchać ostrych prawd.

Pani, która przez swe związki przez związki swego męża, zbliżoną jest z najznakomitszemi rodzinami Europy, pani, która na swoje wytłomaczenie nie może podać ani głupoty, ani niedoświadczenia, pani, która rozporządza królewskim prawie majątkiem, która ma wszystko, co potrzeba, by postawić się w towarzystwie, jako wzór dystynkcyi — w jakiż to sposób niedorzeczny, kompromitujący, skandaliczny żyje pani!

Gdyby świat, w tolerancyi swej, widząc, że pani jest bez męża, znał nasze stosunki, zamknąłby oczy, by ich nie widzieć. Nie czuje się on ani dość czystym, ani dość surowym, by nie tolerował pewnych związków, gdy te mają choć cień tłomaczenia. Ale czy może świat, przy całem swem niepomiernem uwzględnieniu, tolerować to, co pani robi? Czy takie postępowanie zgadza się ze zdrowym rozsądkiem, z godnością pani, z tem, co pani winna sobie samej, swym dzieciom, nie chcę już mówić: swemu mężowi?

W Aix, przez tych sześć tygodni, które spędziliśmy razem, poznawszy słabość pani, pozwoliłem sobie dać jej pewne rady, podyktowane uczuciem bezinteresownem. Łatwo było pani iść za niemi i z zadowoleniem wewnętrznem, z którego teraz pani śmiać się może, widziałem, jak powracałaś do rozsądku. A dziś, co się stało z dobrem jej postanowieniem? Zajmuje się pani tylko błahostkami, roznamiętnia się pani tylko do nieprzyzwoitych rozrywek. Co to są za widowiska, na które mnie pani zaciągasz?

(Ciąg dalszy nastąpi)

SELMA LAGERLÖF.

MARSZ WESELNY

(Tłómaczenie K. Bukowskiego).

Przed laty szykowano się do hucznych godów weselnych we wsi Svartsjö w Wärmlandyi i najpierw zapowiedziano ślub w kościele, a następnie trzydniowe wesele z tańcami, które trwać miały od wczesnego wieczora do późnej nocy.

Wobec tak szeroko projektowanej zabawy, bardzo ważną sprawą było wystaranie się o dobrego grajka. To też Nils Elofsson, zamożny gospodarz, wyprawiający to wesele, więcej się o to kłopotał, niż o co innego. Muzykanta, który stale mieszkał w Svartsjö, Jana Östera, nie chciał wzywać, choć wiedział, że była to w swoim rodzaju znakomitość, sławna na całą okolicę; Öster był biedny i zjawiał się nieraz na weselach w podartem ubraniu.

Po długim namyśle, postanowił wreszcie posłać do muzykanta zamieszkałego w gminie Jösse, zwanego Marcinem grajkiem, z zapytaniem, czyby nie zechciał grać na weselu jego córki.

Marcin-grajek bez wahania odpowiedział, że nie może grać w Svartsjö, skoro wieś ta posiada muzykanta głośnego na całą Wärmlandyę.

Po otrzymaniu odpowiedzi Elofsson namyślał się dni kilka, wreszcie posłał po grajka Olle'go do Säby.

Ale Olle z Säby odpowiedział to samo, co Marcin-grajek i polecił wysłańcowi Elofssona by oznajmił swemu panu, że dopóty dopóki Svartsjö posiada takiego muzykanta jak Öster, on tam nie zagra na żadnem weselu.

Elofssonowi bardzo w niewsmak poszło, że muzykanci chcą go zmusić do zamówienia grajka, którego mieć na weselu córki nie pragnie, wobec tego uparł się postawić na swojem.

I w kilka dni po odmowie Olle'go z Säby posłał parobka po Larsa Larssona do gminy Ullerud.

Larsson był dostatnim gospodarzem; rozumny i rozważny nie pił, jak inni muzykanci.

Ale i on także zaczął się zastanawiać, dlaczego jego to wzywano, nie zaś Östera.

Parobek Elofssona uznał za najodpowiedniejsze zaznaczyć, że muzykę Östera można słyszeć codzień — skoro Elofsson wyprawiał wesele, pragnął zaprosić kogoś znaczniejszego, lepszego.

— Nie sądzę, by mu się udało mieć na weselu córki lepszego od Östera muzykanta.

— Chcecie zapewne odpowiedzieć to samo, co Marcin-grajek i Olle z Säby — wtrącił parobek i opowiedział Larssonowi o swych nie fortunnych zabiegach.

Larsson uważnie wysłuchał parobka i pogrążył się w zadumie — wreszcie dał odpowiedź pomyślną:

— Kłaniaj się twemu panu i podziękuj za zaprosiny, przyjadę — rzekł do parobka.

W najbliższą niedzielę udał się też Larsson do Svartsjö; podjeżdżał właśnie pod kościół w chwili, gdy orszak weselny ustawiał się parami przed Domem Bożym.

Przybył na własnym wózku, w dobrego konia, ubrany wykwintnie; wydostał skrzypce z błyszczącego futerału. Elofsson powitał go nader uprzejmie, zaznaczając, że taki muzykant przynosi mu honor.

Zaraz po przybyciu Larssona zjawił się przed kościołem Öster ze skrzypcami pod pachą — podszedł wprost do gromadki, otaczającej pannę młodą, zupełnie jak gdyby był wezwany do grania na weselu.

Miał na sobie starą kurtkę, zjedzoną przez mole — widywano go stale w tem ubraniu, ubraniu, które na tak wspaniałe wesele opatrzyła mu żona dużemi zielonemi łatami na łokciach.

Öster był wysokim pięknym mężczyzną i wyglądałby wspaniale na czele orszaku weselnego, gdyby był inaczej ubrany i nie miał twarzy pooranej bruzdami wskutek trosk i walki z nieszczęściem.

Na widok Östera Larsson zdradzał jakby trochę niezadowolenia.

— Ach, tak, zaprosiliście również i Östera — rzekł półgłosem do Elofssona — oczywiście, na tak hucznem weselu i drugi muzykant nie zawadzi.

— Ależ bynajmniej, wcale go nie sprowadzałem — zapewniał Elofsson — dam mu zresztą zaraz do zrozumienia, że tutaj zbyteczny.

— Musiał go sprowadzić jakiś figlarz — zauważył Larsson — usłuchajcie mej rady i dajcie mu pokój. Słyszałem, iż to człek gwałtowny, któż więc zaręczy, że nie zrobi awantury.

Słowa te trafiły snadź Elofssonowi do przekonania — nie było już zresztą czasu na wywoływanie zamięszania, bowiem orszak weselny szykował się ku wejściu do kościoła — podszedł więc do Östera i uprzejmie go pozdrowił.

Obaj muzykanci stanęli na czele; za nimi ustawiali się w zwykłym ordynku: państwo młodzi, drużbowie i druchny, rodzice i krewni— orszak wyglądał wspaniale.

Za chwilę jeden z drużbów podszedł do muzykantów, prosząc o marsza weselnego.

Muzykanci mieli już skrzypce pod brodami, ale żaden z nich nie dobywał tonu — stali jak wryci.

W Svartsjö panował bowiem dawny zwyczaj, że sławniejszy grajek rozpoczynał marsza weselnego i dyrygował muzyką.

Starszy drużba spojrzał na Larssona, spodziewając się, że on to zagra pierwszy; Larsson jednak ani myślał i wskazując smyczkiem Östera rzekł:

— Niech Öster zaczyna.

Ale Österowi przez myśl nawet nie przeszło, by jego towarzysz, ubrany jak wielki pan, mógł być gorszym od niego — wszak on, obdartus, przybywał wprost ze swej ubogiej chatki, gdzie prócz nędzy nic nie było.

— Za nic — odparł — za nic!

Pan młody wyciągnął rękę, trącił nią Larssona rzekł:

— Niech Larsson rozpoczyna.

Usłyszawszy te słowa, Öster opuścił skrzypce i wystąpił z szeregu.

Tymczasem Larsson nie ruszał się z miejsca, stał pełen zadowolenia z siebie, lecz i on nie uniósł w górę smyczka.

— Öster musi rozpocząć — odpowiedział stanowczo.

Orszak weselny zaczął już zdradzać zniecierpliwienie. Ojciec pana młodego zwrócił się do Larssona z prośbą, by on zaczynał. Kościelny wyszedł z kościoła i dał znak, że pastor czeka już przed ołtarzem.

— Musicie poprosić Östera, aby on zaczął — rzekł Larsson — my muzykanci uważamy go śród nas za najzdolniejszego.

— Być może — oopowiedziano mu w kilka głosów — ale my uznajemy ciebie za takiego.

Uczestnicy orszaku weselnego otoczyli kołem Larssona.

— Zaczynaj — wołano — wszak pastor czeka, robimy z siebie widowisko.

Larsson był nieubłagany.

— Nie pojmuję — rzekł wreszcie — dlaczego mieszkańcy tej wsi są niezadowoleni, że ktoś ich muzykanta wyróżnia.

— Elofsson pełen gniewu podszedł do Larssona i szepnął mu:

Teraz rozumiem, wyście to sprowadzili Östera, by go w ten sposób uhonorować. Grajcie coprędzej, o ile nie chcecie, abym wypędził stąd tego obdartusa!

Larsson spojrzał mówiącemu prosto w oczy, skinął głową, nie okazując wcale gniewu i rzekł:

— Macie słuszność, musimy raz przerwać te ceregiele.

I dał do zrozumienia Österowi, aby ten zajął swe poprzednie miejsce. Następnie zrobił kilka kroków naprzód, odwrócił się tak, że wszyscy mogli go dobrze widzieć, rzucił na ziemię smyczek, dobył z kieszeni kozika i pociągnął nim po strunach — wszystkie cztery pękły z ostrym dźwiękiem.

— Nie chcę, ażeby o mnie mówiono, że mam się za wybitniejszego od Östera muzykanta — powiedział z naciskiem.

Zaznaczyć należy, że Östera już od trzech lat prześladowała melodya, którą nosił w sercu, choć nie potrafił jej wygrać na swych skrzypcach dlatego, że miał dużo trosk i nigdy mu się nic takiego nie przytrafiło, coby go mogło podźwignąć ponad codzienne szare życie. Skoro teraz usłyszał dźwięk strun pękających u skrzypiec Larssona, odrzucił głowę w tył i zaczerpnął powietrza. Twarz jego skamieniała; zdawało się, że wysłuchuje coś pochodzącego z dali... Zaczął grać, bo uprzytomnił sobie melodyę, o której tak długo marzył i przy dźwiękach jej tonów ruszył dumnym krokiem ku kościołowi. Podobnej melodyi orszak weselny nigdy dotąd nie słyszał — porwała go ona z taką siłą, że nawet Elofsson nie pomyślał o dalszym oporze. I wszyscy uczestnicy orszaku weselnego byli tak zadowoleni zarówno z Östera jak z Larssona, że wchodzili do kościoła ze łzami w oczach.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkichkrajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych", Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej, a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow." **w gronie najpiękniejszych Polek.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych".** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych", 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Kronika tygodniowa.

Dopłynęliśmy zatem szczęśliwie do połowy kalendarzowego wielkiego postu i ani się oglądniemy, jak nas zgromadzi święcone przy stole wielkanocnym. Ale jak ten stół będzie wyglądać!?... Choć temperatura znacznie się podniosła, a na plantacyach, obok strojnych w zefiry niewiast, pojawić się miał już nawet całkiem żywy motyl, aż się zimno robi na myśl. Jeneralny komisarz dla walki z drożyzną i lichwą, pan Hartleb, obiecał wprawdzie, że na wywóz jajek za granicę pozwoli dopiero w kwietniu, aby umożliwić ogółowi zaopatrzenie się w nie na święta, cóż nam jednak z tej obiecanki, skoro w ubiegłym tygodniu płacono na targu za jajka do czterystu marek za sztukę, nie należy zatem wątpić, że w miarę zbliżania się świąt i one pójdą jeszcze w górę, gdy natomiast marka będzie coraz dalej tracić swą wartość. Pewien ekonomista obliczył, że wyklejenie pokoju banknotami pięciomarkowymi wypadnie daleko taniej, niż tapetami i będzie daleko oryginalniejsze.

Nie należy się zatem łudzić nadzieją, że tegoroczne święta Wielkanocne będą lepsze od poprzednich, przeciwnie, trzeba przyjąć jako pewnik, że będą daleko gorsze, choć bowiem dochody poszczególnych jednostek wzrosły w porównaniu z ubiegłym rokiem powiedzmy tysiąc procent, drożyzna natomiast przynajmniej pięć razy więcej. Do niedawna tysiącmarkówka miała jeszcze wartość dawnej „szóstki", obecnie można za nią kupić niewiele więcej, jak za ś. p. „czworaka", a przez okres trzechtygodniowy, jaki nas dzieli od świąt, sytuacya z pewnością pogorszy się na niekorzyść naszych kieszeń, a na pożytek wszelkiego rodzaju paskarzy i lichwiarzy. Ratować ma nas wprawdzie zaprowadzenie nowej waluty, na razie teoretyczne, ale na skutki trzeba będzie długo czekać, a tu święta już za pasem i to w tak niewygodnem dla każdego gospodarstwa okresie, bo przygotowania do nich musi się czynić w drugiej połowie miesiąca, gdy budżet zbliża się coraz bardziej do nowiu. Według teoryi prof. Einsteina, praktycznie już stawianej, urządzenie święconego zależy zaś w zupełności od stanu kasy głowy domu, ewentualnie oszczędności, jakie na ten cel potrafiła poczynić „lepsza połowa". Tymczasem zawartość kieszeni ojca rodziny zmniejsza się z dnia na dzień ruchem przyspieszonym, oszczędności mamy są tylko fikcyą, przypominającą spadek po amerykańskim wujaszku, choć bowiem udało się jej może co uciułać, dawno się to już rozeszło na skompletowanie wiosennej tualety, mającej to do siebie, że im jest krótsza, tem jest i droższa. A wiosna, jak się zdaje, zbliża się do nas już wielkim krokiem, kapie bowiem z dachów i rynien, kapie i z nosów. I z pierwszemi, t. j. rynnami, i z drugimi, t. j. nosami, ogromny kłopot. Rynny dziurawe, a nikt nie zabiera się do ich naprawy, gdyż gospodarz czeka na uchwalenie nowej ustawy mieszkaniowej, a lokatorzy ani myślą łożyć cośkolwiek na ten cel, kontenci, że bodaj w mieszkaniu nie trzeba siedzieć pod parasolem. Z nosami także kłopot, choć bowiem mamy obecnie w Polsce ustrój wybitnie demokratyczny i nikogo nie powinnoby razić, jeśli bliźni palcem nos ociera, mimo to jakoś się do tego przyzwyczaić nie możemy, a burżuazyjny zwyczaj używania do tego celu chustek, spotyka się, dzięki drożyźnie, z trudnościami prawie nie do pokonania, gdyż najwyższa instancya domowa orzekła, że tylko raz na tydzień może dać świeżą.

W którą zatem stronę uderzyć, wszędzie kłopoty i niepowodzenia, najdotkliwiej oczywiście dokuczają każdemu święta Wielkanocne, choć do nich stosunkowo jeszcze dość daleko. Niemal w każdem gospodarstwie domowem odbyła się już z tego powodu wielka narada familijna, na której powzięto jednomyślnie uchwałę, że święcone należałoby urządzić, po przeprowadzeniu dyskusyi okazało się przecież, że jest to absolutnie wykluczone ze względów natury finansowej. co nie powinno jednak nikogo zbyt martwić, bo tegoroczna Wielkanoc wypada akurat na dzień 1 go kwietnia, przeznaczony tradycyjnie na wzajemne zwodzenie się. Zwodzili nas dotąd inni, w tym roku możemy się zwieść sami i, patrząc na pusty stół wielkanocny, wyobrażać sobie, że się piętrzą na nim całe stosy najrozmaitszych frykasów. Zastrzegamy się, że mamy na myśli tylko pewną część naszego społeczeństwa, pracującą umysłowo i nie bawiącą się paskiem, bo drugą stać na to, aby, choćby marka spadła jeszcze bardziej w swej wartości, urządzić sobie prawdziwie luksusową biesiadę. Pan radca lub pan profesor, choćby nawet uniwersytetu, który w przedwojennych czasach wydawał z nadzwyczajnych domowych kredytów na urządzenie święconego pięćdziesiąt koron (a było za to dość do jedzenia i picia dla rodziny i licznych gości!...), musiałby dziś wyłożyć na ten cel co najmniej milion i jeszcze nie miałby tego wszystkiego, co wówczas. Musi sobie zatem powiedzieć: *non possumus*!.. i przejść nad tegorocznem święconem do porządku dziennego.

Teraz dopiero widzimy, dzięki wojennemu i powojennemu doświadczeniu, jaki to głupi wynalazek jedzenie i picie i jak szczęśliwą byłaby ludzkość, gdyby się była do niego nieopatrznie, podobnie jak do używania nikotyny, nie przyzwyczaiła. Powie kto może, że człowiek jest istotą żyjącą, musi zatem jeść i pić, aby utrzymać w jakim takim stanie swą cielesną powłokę, na to odpowiemy mu nie słowami, lecz przykładem, zaczerpniętym ze źródła naukowego, bo z podręcznika zoologii ś. p. Nowickiego, który wtajemniczał nas w arkana życia naszej przyrody. Otóż pokazuje się, że jedzenie i picie nie jest niezbędnym warunkiem utrzymania organizmu przy życiu. Żyje w grotach Postojny pewne niewinne stworzenie, noszące piękną nazwę łacińską *Proteus Anguineus*, po polsku zaś odmieniec jaskiniowy, które, jak twierdził jeden z przyrodników, potrafiło się bardzo długi czas obejść zupełnie bez wszelkiego pożywienia i narzekało może w duchu na niegościnność swego gospodarza, trzymającego je na ścisłej dyecie, ale fantazyi bynajmniej nie utraciło, a tem mniej życia, w końcu gdzieś uciekło. Wprawdzie w więzieniu londyńskiem zmarł głodową śmiercią Mac Swiney, ale to tylko dlatego, iż miał zbyt mało trainingu. Pocóż zresztą szukać daleko przykładów, skoro je mamy pod ręką, o czem się łatwo przekonać może każdy, posiadający łóżko, a w niem pluskwy. Jeśli pożegna się razem z niemi i opuści je na rok cały, zostawiając biedactwa własnemu losowi, jakże się zdziwi, gdy powróciwszy do domu, zaraz w pierwszą noczostanie przez nie serdecznie powitany.

Widoczne z tego, że od jedzenia, jeśli kto chce lub musi, odzwyczaić się może i w tym kierunku nasi uczeni rozpocząć powinni daleko idące doświadczenia i próby, a te, jeśli się udadzą, staną się zbawieniem dla ludzkości. Pluskwom cały rok nieobecności ich żywiciela krzywdy nie wyrządził, gdy jednak przez taki okres nie będzie napychał kieszeni paskarzy i lichwiarzy żywnościowych, wezmą ich dyabli, czego im z pewnością każdy z Czytelników, zwłaszcza zaś Czytelniczek, z serca życzy.

W polityce światowej także niezbyt wesoło, choć bowiem wiosna dopiero się zbliża, zanosi się wciąż na burzę, a nikt nie potrafi sobie zdać z tego sprawy, z której ona może strony nadciągnąć. Choć termometr wykazuje zero stopni, atmosfera duszna, grzmotów wprawdzie nie słychać, ale choryzont zaciąga się coraz czarniejszymi chmurami. Opatrzność posadziła nas w takiem miejscu, że narażeni jesteśmy ciągle na działanie wiatrów, raz wiejących od wschodu, to znów od zachodu, a są one tem przykrzejsze, że Koalicya nie może się jakoś zdobyć na ostateczne wykreślenie naszych granic, abyśmy się mogli zamknąć szczelnie w swym domu. Jak szydło z worka wyłazi ciągle ten obrzydliwy własny interes wspólników, tworzących stowarzyszenie z nieograniczoną poręką, noszące nazwę: „Koalicya", którzy, choć oficyalnie rządu rosyjskiego obecnie nie uznają, ile przecież razy się tylko da, ustawicznie się z nim liczą i nań powołują. Tak było i obecnie, gdy się rozchodziło o uregulowanie naszych granic wschodnich, koalicya sprawę odłożyła na później, zasłaniając się, że nie może tego uczynić bez współudziału Rosyi, a sowietów rosyjskich za rząd nie uznaje. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się jednak z ust samego lorda Curzona w angielskiej Izbie Gmin, że Anglia się bardzo cieszy z tego, iż stosunki w Polsce rozwijają się coraz pomyślniej, bo sprzymierzonym zależy na tem, aby ich sojuszniczka stała się silną.

Tak się mówi i pisze, ale zupełnie inaczej się postępuje, jeśli przyjdzie do czynu. Gdyby w samej rzeczy Koalicyi zależało na tem, abyś my wzrośli w siły i stali się naprawdę mocarstwem, mogącem skutecznie zabierać głos w sprawach swoich sąsiadów, nie przysparzałaby nam sama trudności na każdym kroku. Dzięki jej mamy taki czyrak na karku, jakim jest „wolne miasto Gdańsk", zamykające nam ujście Wisły, który musimy do tego jeszcze żywić, aby pionierowie idei germańskiej nie wymarli przypadkiem z głodu. Nie lepiej było, gdy nam kochani bracia Czesi zdmuchnęli z przed nosa Cieszyn, teraz powtórzyło się mniej więcej coś podobnego w Kłajpedzie, gdzie interesy polskie również poniosły szwank, tracąc drugi dostęp do Bałtyku, t. j. ujście Niemna.

Z dziwnym spokojem zgodziła się Koalicya na usadowienie się Litwinów kowieńskich w Kłajpedzie, zanim zaś powźmie ostateczną decyzyę, oni tak się tam zakorzenią, że i siłą ich stamtąd nie ruszy. A chyba mężowie polityczni Zachodu, przedewszystkiem zaś francuscy wiedzą dobrze o tem kto się kryje za plecami Litwinów i jakoś, mimo to, a może właśnie dlatego, nie potrafią się zdobyć na krok stanowczy. Jeśli jednak rozchodzi się o to, aby nam przyszyć jakąś łatkę, wszyscy idą zgodnie społem, gdy zaś potrzeba uczynić coś na naszą korzyść, spotyka się zawsze różnicę zapatrywań. Tak było dotąd, tak jest obecnie i tak niezawodnie będzie i nadal, dopóki Anglia nie zmieni swoich poglądów na sprawy europejskie i metod swej polityki, polegającej na tem, aby na kontynencie europejskim żadne z państw nie mogło stanąć silnie na własnych nogach. Odwieczny antagonizm brytyjsko francuski, choć dziś Anglia i Francya należą razem do spółki komandytowej, każe Londynowi występować zawsze przeciwko wszystkiemu, co mogłoby przyczynić się do wzmożenia wpływów francuskich. Ponieważ zaś Polska jest obecnie podporą Francyi i przy jej pomocy może trzymać Niemcy w szachu, gabinet londyński prowadzi w dalszym ciągu nieopatrzną politykę Lloyda Georgea, z której korzystają tylko Niemcy. Mieli być podobno położeni na obie łopatki, ale jakoś się to nie udaje, rośnie też z każdym dniem ich buta, a nad losem ich łzy leje finansyera europejska i pcha socyalistyczną międzynarodówkę do energicznego ujęcia się za losem rzekomo pokrzywdzonych.

Spotkaliśmy się niedawno w pismach z notatką, iż socyaliści mają zamiar wywołać ogólne bezrobocie na znak protestu przeciw obsadzeniu przez Francuzów Zagłębia Ruhry. Przytacza się wprawdzie piękne motywy, że idzie tu głównie o zapobieżenie możliwej wojnie i imperyalizmowi francuskiemu, gdy jednak Czesi kradli nam Cieszyn, a teraz Litwini chcieliby to samo zrobić z Wilnem, międzynarodowe serce socyalistyczne nie było takie czułe, jak obecnie, gdy w grę wchodzą interesy niemieckich potentatów, wprawdzie nie koronowanych, ale nadających ton i kierunek życiu ekonomicznemu, a co za tem idzie i politycznemu.

Ow proponowany strajk jeneralny, nazwijmy go, jak się komu podoba, protestujący, czy też zapobiegawczy, byłby tylko wzmocnieniem oporu Niemców przeciw słusznym żądaniom francuskim i ciekawa rzecz, w jaki sposób zachowałby się w tym wypadku pracujący proletaryat polski. Bo, kto jak kto, ale my, Polacy, nie mamy bynajmniej powodu do ujmowania się za rzekomą krzywdę Niemców i to nie z racyi naszego przymierza z Francyą, ale choćby tylko tych sympatyi i ich dowodów, jakich nam Niemcy nigdy nie szczędzili i dotąd nie szczędzą Dziwić się też należy Centralnej Organizacyi Polskiej Partyi Socyalistycznej, że zdecydowała się na zabranie głosu w tej sprawie, skoro bowiem nosi nazwę „polska", powinna była przejść nad nią do porządku dziennego.

Zawody narciarskie o mistrzowstwo świata: Mistrzowski skok Szwajcara, Gerarda Bila.

Jenerał-poeta.

Cieszący się takiem powodzeniem na scenie krakowskiej „Janosik“ Andrzeja Galicy, wzbudził podwójne zainteresowanie: ze względu zarówno na swą barwną treść, jak i osobę autora, jednego z dzielniejszych jenerałów polskich. Jenerał i poeta! Ta niezwykła w naszych stosunkach kombinacya, nie jest nowa. Za granicą, zwłaszcza w Hiszpanii, zdarza się to dość często. Tam jenerałowie, ministrowie są pisarzami i to nieraz dużej miary.

Jenerał Galica jest autorem nie od dzisiaj. Już dawniej napisał dramat społeczny p. t. „Robert Szporn“. Jako Podhalanin, z krwi i kości, rozmiłowany w przyrodzie tatrzańskiej, z nich czerpie siły i motywy do swej twórczości. Opowiadania góralskie Galicy, oraz wiersze liryczne, posiadają świeżość i wdzięk — niemal tatrzański. Obecnie dopiero wystawiony dramat p. t. „Janosik“, jest kompozycyą dramatyczną w większym stylu, opartą w całości na motywach podhalańskich. Należy życzyć autorowi, aby w swej dalszej twórczości nie opuszczał swej gleby podhalańskiej, której jest specyalnym miłośnikiem i znawcą. Wprowadzenie podhalańszczyzny do teatru jest po „Kostce Napierskim“ Kasprowicza i „Skapanym Świecie“ Orkana wzbogaceniem literatury dramatycznej motywem swojskim i ludowym.

Autor „Janosika“, jak przystało na jenerała-poetę, łączy w przedziwny sposób dwie tak rzadkie zdolności, jak imaginacyę poetycką i brawurę żołnierską. I to jest cechą charakterystyczną jego twórczości.

Zawody narciarskie o mistrzowstwo świata: Podczas rozgrywania jednego z głównych punktów programu konkursowego w Superbagneres (Pireneje).

Samochodami przez piaszczyste pustynie Sahary.

Dzięki najnowszym ulepszeniom środków komunikacyjnych zdobywa się pomysłowość ludzka na coraz śmielsze przedsięwzięcia, które dla podróżników ostatnich dziesiątków lat były tylko niedającem się ziścić marzeniem. Nieustraszony turysta wydziera przyrodzie troskliwie dotąd przed jego okiem ukrywane tajemnice.

Do najważniejszych i najśmielszych przedsięwzięć w tym kierunku zaliczyć należy przejazd przez piaski Sahary w samochodzie i przelot ponad biegunem północnym w samolocie. Pierwszego dokonano z powodzeniem, przygotowania do drugiego są w pełnym toku.

Francuzi w Bochum: Rozdawnictwo zupy przez kucharzy wojskowych francuskich okolicznej ludności robotniczej.

Zawody narciarskie o mistrzowstwo świata: „Garderoba" na tarasie hotelu, w której składają uczestnicy konkursu podczas śniadania swe łyżwy.

Zawody narciarskie o mistrzowstwo świata.

Największe niewątpliwie międzynarodowe zawody narciarskie odbyły się w sezonie obecnym w Superbagneres de Luchon w Pirenejach. Zawody te, które rozgrywały się o mistrzowstwo świata, zgromadziły zgórą 250 narciarzy z całego świata.

Polskę reprezentowali bez przesady najlepsi jej narciarze pp.: Rozmus, Krzeptowski, Kaliciński Eug., Witkowski, bracia Shielowie oraz niepokonana dotąd narciarka polska, pani Ela Ziętkiewiczowa, mistrzyni Polski (b. mistrzyni Austryi).

Stwierdzić należy, iż ekspedycya polska odniosła wcale poważny sukces, a nawet wielki, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Polacy po raz pierwszy startowali na zupełnie odmiennym od tatrzańskiego terenie, oraz z konkurentami bardzo niebezpiecznymi, w szczególności z Szwajcarami, Skandynawczykami i Finlandczykami. I tak, pierwsze miejsce w biegu pań zdobyła p. Ziętkiewiczowa, w biegu zaś na 18 kilom. Polacy zajęli 9 miejsc. W skokach również polscy narciarze zajęli wcale dobre miejsce.

Zawody w Superbagneres de Luchon miały przebieg wprost imponujący, o czem dają pewne pojęcie zamieszczone w niniejszym numerze illustracye.

Fabrykant automobilów A. Citroen zorganizował przy współudziale uczonych geografów i pod protektoratem władz francuskich podróż automobilową przez Saharę. Do podróży tej użył swych wozów systemu czołgowego, wypróbowanych już na śniegach górskich stoków Owernii. Punktem początkowym wyprawy był Tuggurt-El-Oued, punktem końcowym Timbuktu. Pierwsza część drogi aż do Su. Salak znana jest już po części uczestnikom wyprawy z próbnych podróży. Karawanę 5 wozów przyjmowała entuzyastycznie ludność okoliczna, zbiegając tłumnie na powitanie odważnych eksploatorów. Na cześć czołgów odbyły się nawet w oazach wyścigi wielbłądów, zazdrosnych zapewne o swe panowanie nad piaskami pustyni. Dalej jednak czekają właściwe trudności. „Nieznane" czyha na podróżników, czeka ich walka z zimnem, szczególnie dotkliwem w noce zimowe i wichrem wyżyn skalistych. Zdjęcia z poszczególnych etapów wyprawy przedstawiają niesamowity widok kąpiących się w piaskach automobilów na tle wyrastających z wydm skał czerwonych, zwietrzałych w dziwne kształty, lub wozów przewalających się przez kamieniste bezkresne pola.

Zbadano przy tej sposobności okolice, należące dotąd do najmniej znanych, jak się jednak okazuje nie obcych naszym przodkom, gdyż, jak świeżo wykazał wybitny geograf francuski, Charles de La Ranciere, w swym referacie, wygłoszonym w paryskiej Akademii Napisów, Timbuktu, owe tak długo tajemnicze miasto afrykańskie, oraz południowe krańce pustyni Sahary, znane dopiero niespełna od wieku — utrzymywały w rzeczywistości stosunki z Europą już w czternastym wieku.

Pan de La Ranciere dokonał tego odkrycia badając średniowieczne mapy geograficzne.

Okazuje się, że już około 1300 roku pewien kupiec genueński osiadł w Sidżilmessa, a drogi handlowe Sahary, jak z Tafiletu do Timbuktu lub do „Wyspy płytek złotych" albo Bambuku, znane były kupcom hiszpańskim i rękodzielnikom włoskim. Około 1330 roku, pewien budowniczy z Grenady wzniósł w Mali, w górze Nigru, pałac ozdobiony freskami pewnego malarza genueńskiego. W czternastym też wieku rzemieślnicy europejscy budowali miasto w krainie Mandyngów, za panowania króla Mussy I., którego portret zachował się na mapach, przedstawionych przez p. de La Ranciera Akademii. Z miast tych pozostało nieco ruin, które mają być zbadane.

Cuda grobu Faraona.

Odkopany w Egipcie grób Faraona Tutankhamona stał się już sensacyą światową. Angielska komisya archeologów z całą armią dziennikarzy dokonywa tam poszukiwań i... wywozi odkryte w grobowcu skarby. Jak stwierdzają zgodnie korespondenci, miejscowa ludność jest oburzona za tę profanacyę grobów królewskich i zabierania znalezionych skarbów. Naturalnie nikt z obecnych

Cuda grobu Faraona: Ogólny widok Doliny Królów i drogi wiodącej do grobowca Tutankhamona.

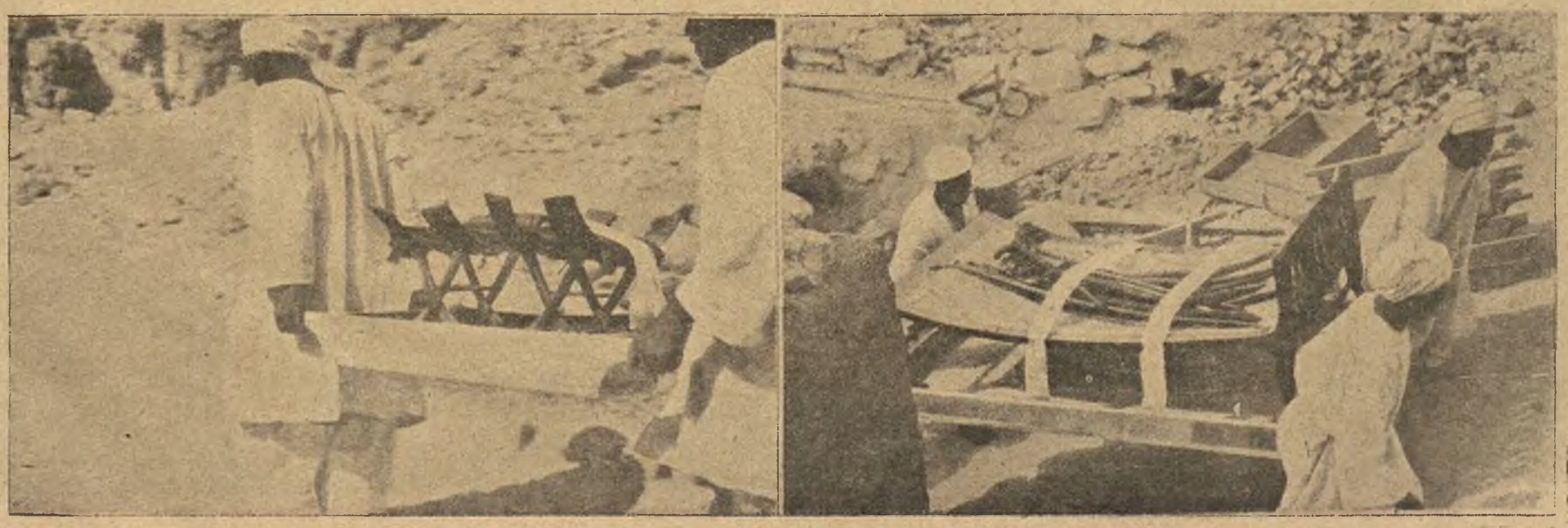

Cuda grobu Faraona: Przenoszenie różnych przedmiotów znalezionych w grobie Faraona.

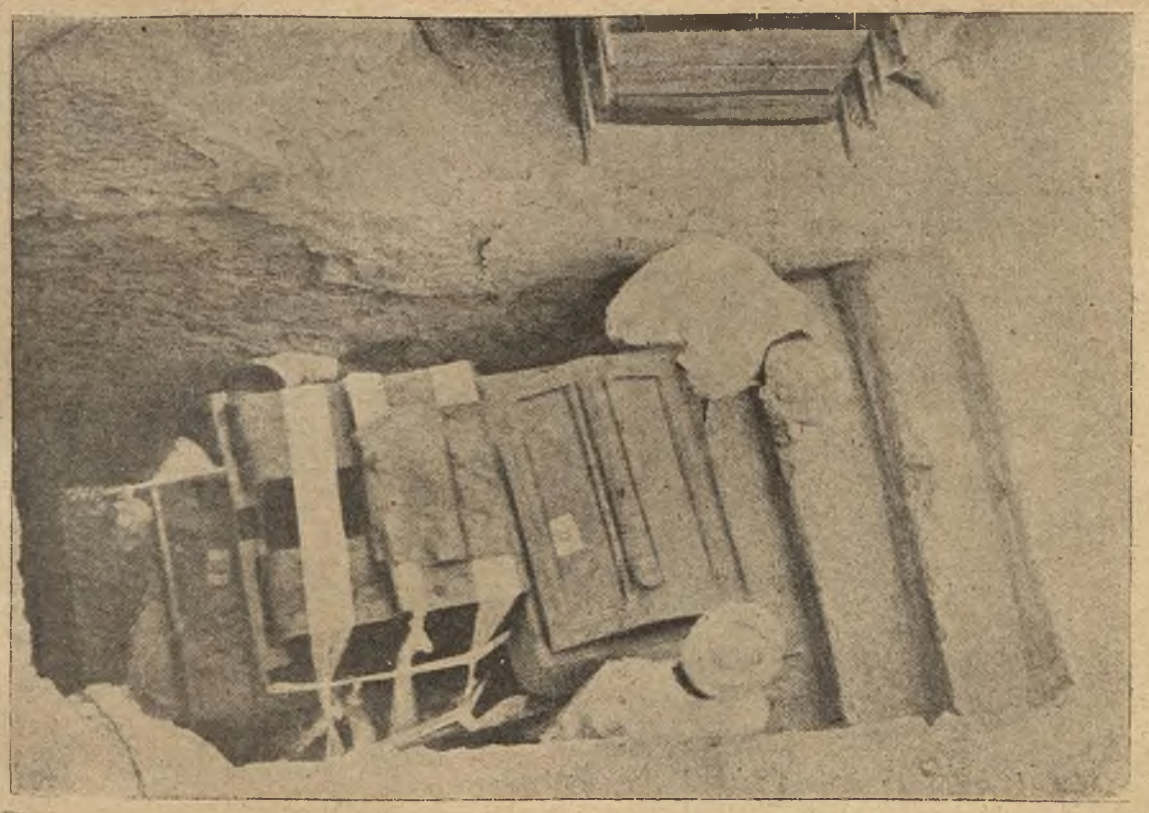

Cuda grobu Faraona: Skrzynie z kosztownościami i zabytkami sztuki, znalezione w grobowcu Tutankhamona.

mieszkańców Egiptu nie ma najmniejszego pojęcia o wierzeniach religijnych, jakie istniały w tym kraju przed 33 wiekami. Ale przez setki pokoleń utrzymała się wiara w nowe przekleństwo, rzucone go na tych, którzy naruszą pokój wieczny spoczywającego w grobowcu. Wiara ta jest oparta na wierzeniach staroegipskich, według których nie byli umarłymi ci, których składano do grobu. Każdy umarły żył dalej w grobie pod zmienioną postacią. Gdy kładziono Faraona do grobu, nie była to balzamowana, owinięta i lakierowana mumia. Od chwili bowiem, gdy najwyższy arcykapłan wypowiadał modlitwę, która ma moc otwierania ust mumiom, zaczynały one żyć od chwili zapieczętowania grobowca życiem wewnętrznem. Wszystko, co umarły kochał i co mu się podobało na ziemi, otrzymał tutaj ze sobą do grobu, gdzie w zimie było ciepło, a w lecie panował miły chłodek. Były tam skrzynie i szafki, umeblowanie i jedzenie, piękna broń, łódź nilowa, rydwan wojenny, krzesło tronowe, kwiaty, ozdoby, przybory toaletowe, jednem słowem wszystko, co mu do wygód było potrzebne, a co służyło do użytku duszy sobowtóra, która była jednocześnie jego duszą. Ale to nie było wszystko. Tutankhamon nie był sam ze swoim sobowtórem. Wszystko, co było namalowane na ścianach jako figury, znaki, symbole i opowiadania, stawało się rzeczywistością, zaczynało żyć. To słońce naprzykład, namalowane w jednym rogu grobowca: ono stawało się prawdziwem słońcem, które oświecało ten świat, w którym Faraon tylko żył. A ci namawiacze wężów i śpiewacy w innem miejscu! Nabierali życia, schodzili ze swych ścian i śpiewali przed Faraonem i pokazywali mu swe sztuczki. Muzykanci zeskakiwali ze ścian i dęli w trąby i flety, a królowa wraz z swemi niewolnicami i żonami zastępczemi odłączała się także od swego kamiennego tła i wszystkie razem usiadały dokoła niego, bawiąc go swemi pieszczotami i dowcipami. Królewski fryzyer napełniał komnaty wspaniałymi zapachami swego kunsztu, a tegoż pomocnicy przychodzili z alabastrowymi słojami i namaszczali członki wonnymi olejkami. Akrobaci, dworzanie, dzieci, błazny, niewolnicy — wszyscy oni z rycin kamiennych stawali się żyjącemi stworzeniami w chwili, gdy arcykapłan odmówił swą modlitwę, „która otwierała usta mumii". Na ścianach czytamy jeszcze o wielkich czynach wojennych króla, o jego dziełach pokoju, jego weselach, budowach i wogóle wszystkiem, co się działo w czasie jego życia. To także wszystko stawało się rzeczywistością. Faraon szedł znowu na wojnę, pobierał małżonki, budował pałace i świątynie i otrzymywał przez posłów dobre wiadomości. Takie życie miał prowadzić człowiek w grobie według wierzeń dawnych Egipcyan. Dlatego właśnie groby Faraonów odznaczają się takiem bogactwem skarbów, bo kładziono wraz ze zmarłym to wszystko, co mu mogło być potrzebne do życia.

W krainie dżungli.

Misya amerykańska, która bawiła niedawno w Birmie, celem poszukiwań w tamtejszych lasach rośliny chaulmoogra, dostarczającej jedynego, dotychczas znanego środka leczniczego w strasznej chorobie trądu, opisuje polowanie na tygrysa stanowiące zakończenie jej wyprawy.

Mieszkaniec dżungli, tygrys, najżarłoczniejsza może i najbardziej krwiożercza bestya ze znanych człowiekowi, to postrach miejscowej ludności, straty przez nią wyrządzone idą rocznie w tysiące ludzi i dziesiątki tysięcy zwierząt domowych. Polowanie na tygrysy należy do bardzo niebezpiecznych przedsięwzięć, tubylcy tępią swojego wroga z zaciekłością, ubicie każdego tygrysa daje powód do ogólnej radości.

Gdy misya amerykańska znalazła się w okolicach osady Kyokta, przewodniczący misyi J. F. Rock, zauważył na piasku odbite silnie, zatem i niedawno, ślady potężnych łap tygrysa, co świadczyło o bliskim pobycie niebezpiecznego sąsiada. Zarządzono zatem wszelkie środki ostrożności, aby się zabezpieczyć przed jego odwiedzinami, zwłaszcza, gdy dowiedziano się od naczelnika osady, że poprzedniej nocy ofiarą drapieżcy padło pięć istot ludzkich, trzy osoby dorosłe i dwoje dzieci,

W krainie dżungli: Mieszkańcy osady Kyokta (Birma) niosą w tryumfalnym pochodzie ubitego tygrysa.

Samotrzask, w który złowiono tygrysa.

Ubity tygrys przed samotrzaskiem.

W krainie dżungli:

które zajęte pracą w polu postanowiły przenocować o kilkaset metrów po za osadą. Rano znaleziono ich zwłoki, trupa jednego z dzieci, poszarpanego w okrutny sposób, doszukano się w sąsiednich zaroślach, dokąd go tygrys uniósł.

Spodziewając się powrotu tygrysa w noc następną, sporządzono dowcipnie obmyślaną, a silnie zbudowaną łapkę, w której jako przynętę umieszczono zwłoki jednej z jego ofiar. Nadzieje nie zawiodły, po przybyciu rano na miejsce znaleziono w samotrzasku potężnego tygrysa, rzucającego się wściekle, ale nie mającego dość siły, aby się uwolnić z krępujących go więzów. Zbiegła się ludność z całej osady i wśród okrzyków radości i tryumfu wymierzono napastnikowi doraźną karę, zakłuwając go na śmierć, a następnie w uroczystym pochodzie, umocowanego na drągu bambusowym przeniesiono do osady.

Dzień ten święcili mieszkańcy osady z całą okazałością.

Francuzi w Bochum.

(Do illustracyi na str. 9).

Francuzi okupują Zagłębie Ruhry i Nadrenię, aby zmusić rząd Rzeszy niemieckiej do wykonania przyjętych w traktacie wersalskim zobowiązań, lecz z największem umiarkowaniem i łagodnością postępowali z miejscową ludnością. W Bochum i innych miejscowościach, gdzie skutkiem przewrotu gospodarczego, wywołanego okupacyą, powstały pewne trudności aprowizacyjne, władze francuskie pospieszyły z pomocą ludności i nawet na ulicach zorganizowały stacye, wydające żywność bezpłatnie, jak to widzimy na naszych illustracyach.

Ta humanitarność francuska nie osłabiła bynajmniej zaciekłości Niemców, którzy wszelkimi sposobami, terorem i sabotażem, usiłują przeciwdziałać legalnym, bo przewidzianym w traktacie wersalskim zarządzeniom Francuzów. Wobec takiej postawy Niemców władze francuskie musiały chwycić się energicznych kroków, a w Bochum zaprowadzono nawet stan oblężenia. Okazuje się, że bestyi germańskiej nie można ugłaskać dobrocią.

Smierć — za kulisami.

(Kr.) — Kabaret, którego praojcem jest właściwie niemiecki Ueberbrettel" Wohlnogena, nie przyjął się nigdy w Polsce w tym stopniu i nie utrzymał się w tym typie jak tego pragnęli jego zwolennicy. Ani „Zielony balonik" ani rozmaitego rodzaju „Ule", ani „Szopki" nie skrystalizowały się w typ scenki, a chociaż początkowo pozował na „sui generis" — klasycyzm, spadł w jakiś czas do poziomu tinglu lub jałowych „Wieczorów śmiechu".

Śmierć — za kulisami: Śp. Wacław Kaliciński.

„Kabaret" nie wydał w Polsce ani większego poety ani artysty.

W plejadzie tych ostatnich — mówimy tu o aktorach — wyróżniło się jednak kilka wybitniejszych, indywidualnych sił, między któremi jedną z pierwszorzędnych był bezsprzecznie zmarły w sile wieku i talentu, popularny „Wacek" Kaliciński.

Wacław Kaliciński był wybornym przedstawicielem owych rubasznych „brusque" typów, jak urlopnik, parobek, góral i t. p.

Inteligencya, zmysł obserwacyjny, wyborna znajomość charakteryzowania, a przedewszystkiem psychologii przedstawianych postaci — czyniły z niego prawdziwie sympatycznego i zawsze mile na estradzie widzianego artystę.

Śmierć młodego jeszcze aktora, z którego nazwiskiem łączyło się zawsze pojęcie humoru i wesołości — zrobiło w kołach teatralnych przygnębiające wrażenie, tem bardziej, że Nieboszczyk posiadał wiele zalet i jako zacny człowiek i dobry kolega.

Z PUŁEK KSIĘGARSKICH.

„RECORD-ŚWIAT KOBIECY" Nr. 3. przynosi: O sztuce ubierania się (co sprawiać należy). — Debiut pani Janki (o nakrywaniu do stołu). — Śmierć czy miłość H. Zbierzchowskiego. — Kocie scherzo, St. Nowińskiego. — Bilet do teatru (z 5 fotografiami). — Roboty ręczne (4 wzory). — Dzień nóżki Paryżanki (7 rycin). — Jak zrobić sobie modny kapelusz (6 rycin). — Kobieta w życiu rodzinnem, J. Albinowskiej. — Mówią, że... Kosmetyka (włosy). — Dobra Gospodyni. — W dziale żurnałowym numer ten daje przeszło 200 modeli sukien, kostyumów, bluzek, bielizny i garderoby dla młodzieży.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam redakcyę „Nowości Illustrowanych" do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis):

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

„DZIATWA POLSKA"
dwutygodnik illustrowany.
Pismo dla dzieci.
Wychodzi
1 i 15 każdego miesiąca
Adres Redakcyi i Administracyi:
Kraków, ul. Kazimierza W. 95.
:—: Telefon Nr. 479. :—:

Były obywatel ziemski
poszukuje
zarządu majątku
Zgłoszenia do Admin. „Nowości Illustrow."
Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Katalog bardzo ciekawych i ZAJMUJĄCYCH książek
wysyła na żądanie DARMO
Księgarnia M. Wahla w Przemyślu.
Na wysyłkę dołączyć znaczek pocztowy.

Księga pamiątkowa wielkiej wojny
Jest do nabycia w Admin. „Nowości Illustr.".

Dr Witold Lipiński
ordynuje w chorobach
-- skórnych --
i wenerycznych
Aleja Mickiewicza L. 14.
(róg ulicy Czystej)
od godz. 2—5 p. po.

„KUPUJCIE 8% Polską Pożyczkę Złotą"

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia